

Jacek Karpiński

część V z VI

Sygnatura notacji: **N0203**

Data urodzenia: **09.04.1927 r.**

Data nagrania: **11, 14.09.2008 r.**

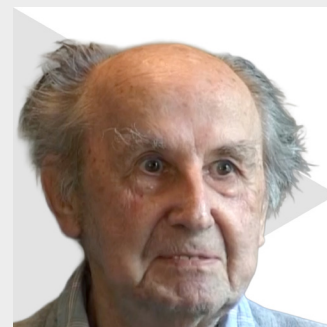
Miejsce nagrania: **Dom świadka, Zakopane, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 59 min,
część VI: 59 min, część IV: 37 min, część V: 52 min,**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jacek Karpiński: Moja mama była lekarką i w czasie powstania była na Żoliborzu. Tam ją zastało powstanie po prostu, ona tam pracowała w gabinecie rentgenologicznym, i ja prosiłem, żeby w jakiś sposób zawiadomił mamę, jeżeli przeżyła, że ja tu jestem. I rzeczywiście, poprzez lekarzy z Pruszkowa, poprzez lekarzy ze szpitala, gdzie ja byłem, skontaktowali się w jakiś sposób z moją mamą, która już była w Pruszkowie, okazało się, i uzgodnili... Bo Niemcy ewakuowali całą ludność z Warszawy. Po prostu Warszawa była pusta. Nasz szpital też ewakuowano do Pruszkowa. Ale było umówione z mamą, z lekarzami, że ja przyjadę transportem razem ze sprzętem czy z medykamentami, ciężarówką. Rzeczywiście mama mnie spotkała, jak ciężarówka dojechała do Pruszkowa. Otwiera drzwiczki, a ja... bo niestety nie mogłem wysiąść, bo byłem jak flak zupełnie, moja mama mówi: „Oj, Jaśku”. Ale ja się bardzo ucieszyłem. I powiedziałem: „Nie martw się, mamó, będzie dobrze”. No i tak przeżyliśmy jakoś dwa dni w tym Pruszkowie w fatalnych warunkach, i w jakiś sposób mamie udało mi się mnie wywieźć razem z moim bratem, mój brat był na Mokotowie, też jakoś dołączył w tym Pruszkowie, i udało nam się wyjechać do Krakowa. Ale ja ciągle nie mogłem ani jedną, ani drugą nogą ruszyć w ogóle. Próbowiałem... Pojechaliśmy do naszych krewnych w Krakowie, to rodzina Kowalskich, taka profesorska rodzina z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wuj profesor, moja kuzynka profesor, mój kuzyn profesor. Mieli ładny domek i tam u nich mieszkaliśmy jakiś czas. Ja próbowałem na takich... Jak to się nazywa? Pod pachy takie.

Anna T. Pietraszek: Kule? –

Jacek Karpiński: Na takich kulach, takich pełnych kulach pod pachę. No ale ręce były słabe, a nogi w ogóle flaki i nie mogłem się oprzeć na tych nogach, tak że zrobiłem trzy kroki i łubudu na ziemię. Ale jakoś tam stawiali mnie, ja

znowu trzy kroki i łubudu na ziemię. Ale to było fatalne. No ale mama powiedziała, że nie ma co dłużej siedzieć w Krakowie. Zawiozła nas do Zakopanego, i tam do Murzasichla u górali, żeśmy przebidowali parę miesięcy, chyba aż do końca wojny. Tak. Do 9 maja. Ja w ogóle nie mogłem wtedy chodzić, a moja mama chciała, żebym coś robił, a dołączyła jeszcze do nas moja siostra, Krystyna. I zgłosiła mnie do szkoły w Zakopanem. I żebym się uczył przynajmniej. Bo ja przecież przerwałem gimnazjum. Miałem siedemnaście lat. Wypadało coś się uczyć. I Krystyna mnie zawiozła, to był taki charakterystyczny szczegół dla mnie, do dzisiaj nieprzyjemnie wspominam, zawiozła mnie sankami do tej szkoły. I akurat po dzwonku zajęcia się zaczynały, i ja chodzić nie mogłem, i ona mnie wciągnęła na tych sankach do klasy. A pani nauczycielka zapytała: „A pan w jakim charakterze?”. Ja mówię: „W charakterze ucznia” – „To pan pomylił chyba adres. Proszę wyjść”. Więc ja niestety prosiłem Krystynę, żeby z powrotem mnie... I tak się skończyła przygoda ze szkołą w Zakopanem. Ja nie wiem, co to za baba była, naprawdę okropna. W każdym razie pojechaliśmy do Radomska, nie wiem, dlaczego akurat do Radomska, bo tam w szpitalu w Radomsku był potrzebny lekarz, mama dostała zatrudnienie tam i tam poszedłem do szkoły. Już bardzo miło przyjęty. To było w 1945 roku. Chyba w lipcu. W lipcu 1945 roku poszedłem do szkoły w Radomsku. I zapytali, co ja skończyłem do tej pory. A powiedziałem, no trudno powiedzieć, bo przecież za okupacji nie było normalnego gimnazjum. Ja powiedziałem, że uczyłem się w domu, prywatnie, a tak to chodziłem do szkoły mechanicznej, do szkoły ogrodniczej. Przeszedłem coś w rodzaju egzaminu i powiedzieli: „Jeżeli pan da radę – to był lipiec – nadrobić pierwszą klasę liceum, to pan pójdzie od września czy od października do drugiej klasy liceum”. I ja w ciągu tych dwóch miesięcy zrobiłem cały materiał rzeczywiście pierwszej klasy liceum, zdałem egzamin do drugiej klasy i już chodziłem normalnie do drugiej klasy liceum, z tym że ja wtedy bardzo intensywnie ćwiczyłem i mogłem chodzić o dwóch laskach. O dwóch laskach jakoś nawet chodziłem już. Ciężko bo ciężko, ale chodziłem. Prawa noga była bezwładna, ale lewa była już coraz bardziej sprawna. W drugiej klasie, w 1945–1946 roku, byłem bardzo aktywny i najpierw siedziałem w ławce z taką miłą koleżanką, Magdą, a później, ponieważ ja byłem bardzo dobry z matematyki, fizyki, chemii i z polskiego, a nie bardzo dobry z historii, z przyrody i z biologii, bo tego nie lubiłem po prostu, i był również bardzo dobry z matematyki i fizyki Jurek Semkow i Mirek Borawski, też świetny matematyk, to posadzili nas w ostatniej ławce, w takiej szerokiej ławce, we trójkę. We trójkę posadzili nas i wszyscy mówili „wielka trójka”. No bo byliśmy rzeczywiście prymusami w tych przedmiotach ścisłych, a ja jeszcze w dodatku byłem prezesem kółka polonistycznego, żeby było śmiesznie. Redaktorem gazetki szkolnej. Byłem szalenie aktywny wtedy. Mało tego, tak się wyćwiczyłem, tę nogę, że grałem w ping-ponga i na wszystko miałem czas dziwnie. I świetnie się czułem wtedy. No i z wynikami bardzo dobrymi zdaliśmy maturę w czerwcu 1946 roku. Ja o tym konserwatorium już mówiłem poprzednio? To już nie będę powtarzał. Tak ogólnie. Ogólnie, chciałem się wybrać i na kompozycję do konserwatorium, i na politechnikę, na elektronikę. Jurek Semkow też i Mirek Borawski, zdecydowanie na politechnikę. Z Mirkiem zdawaliśmy na politechnikę w Łodzi, bo Warszawie wtedy nie było, a Jurek Semkow zdał do konserwatorium w Krakowie i tak nasze drogi się na razie rozeszły, ale później przez całe życie bardzo często żeśmy się spotykali. Wyjeżdżaliśmy na wspólne wakacje, na wycieczki, mieliśmy wspólne nagrania telewizyjne, radiowe, bo on był coraz bardziej słynnym dyrygentem. Ja z kolei byłem dosyć popularny, bo robiłem różne konstrukcje komputerowe. Tak że sporo było o nas w gazecie, w radiu i w telewizji, i tak żeśmy się spotykali. Krótko mówiąc, dwa lata byłem w Łodzi i na półdyplom w 1948 roku przyjechałem do Warszawy, bo już politechnika była. Tak że na elektrotechnikę, ale prądy słabe, jak to się wtedy nazywało. Bo wtedy nie było radiotechniki czy elektroniki, tylko prądy słabe i prądy silne. Wtedy szefem tego był profesor Groszkowski, cudowny naukowiec, cudowny człowiek, i profesor Ryżko, który się opiekował naszą grupą. Tak że ja w 1951 roku...

no w 1948 zaczął się ten trzeci rok, potem czwarty w 1950 roku, w 1950 roku miałem absolutorium i wczesną wiosną 1951 roku skończyłem pracę dyplomową i dostałem dyplom magistra inżyniera. Magister inżynier elektryk. Ale w dopisku było „radiotechnika”. No w każdym razie wiadomo było, że po wyższej uczelni był nakaz pracy i trzeba było trzy lata odpracować na wskazanym stanowisku na wskazanym zakładzie. Ja dostałem propozycję pracy, ale na pół etatu, propozycję starszego asystenta na politechnice w Katedrze Elektrotechniki, ale to się nie liczyło jako praca z nakazu pracy. Tak że to można było tylko na pół etatu, a ja dostałem pół etatu, a jako zatrudnienie dostałem skierowanie do Centralnego Laboratorium Polskiego Radia. Na ulicę Nowakowskiego. Tam poszedłem, przyjął mnie szef tego laboratorium, inżynier Jarocki, pokazał miejsce w laboratorium, biurko i tak dalej, następnego dnia wpada szefowa, która słabo mówiła po polsku, ale z akcentem rosyjsko-żydowskim, i mówi: „Co pan tu robisz?”. Ja mówię: „Dostałem nakaz pracy” – „To pan dywersant! Sabotażysta! Jak żeś pan się tu znalazł?”. Ja mówię: „No z nakazu pracy” – „Sabotaż! Won mi stąd!”. Ja spakowałem swoje manatki i ja tylko pytam: „Co ja mam robić? Ja mam nakaz pracy” – „Dostajesz pan inny nakaz. A nie tutaj. Pan dywersant, z AK, wróg ludu”. Bo było ujawnione, że ja skończyłem kurs wielkiej dywersji. I to było fatalne. Nie tylko AK, ale jeszcze w dodatku byłem instruktorem wielkiej dywersji. I to był po prostu kolec w oku władz PRL-owskich. Rzeczywiście po tygodniu dostaję nakaz pracy do zakładów Kasprzaka na Woli. Znowu do laboratorium. Bo muszę dodać, że ja z wynikiem bardzo dobrym skończyłem dyplom politechniki i w związku z tym mnie przydzielali do jakichś takich dobrych laboratoriów. Ale ten, kto przydzielał, nie wiedział, że ja jestem dywersant. I znowu powtórzyła się historia. Pierwszego dnia szef tego laboratorium mnie miło przyjął, wskazał biurko, tam tego, proszę bardzo, ja się rozgościłem, przychodzi na drugi dzień personalny i mówi: „Panie, to dywersant. Pan jest dywersant Jak żeś pan się tu znalazł? Szpieg!”. Ja mówię: „Mam nakaz pracy” – „To jest dywersja! Ze mną proszę”. I pojechał ze mną na ulicę Kruczą, do Centralnego Zarządu Przemysłu Elektrycznego, tam na drugie piętro, mówi: „Czekaj pan tutaj, na korytarzu”. On wszedł i ja tylko słyszę potworne wrzaski i krzyki tam. Ten wypada czerwony jak burak, mówi: „Ale co ja przez pana mam. Wchodź pan teraz tam”. A tam jakiś pułkownik do mnie z rosyjska mówi: „To sabotaż, to dywersja!”. Ja mówię: „Panie, mam nakaz pracy” – „To właśnie to jest sabotaż. Won mi”. Ja pytam: „Co mam robić?” – „Dostajesz pan nowy nakaz pracy”. I czekałem dwa miesiące tym razem. Dostałem nakaz pracy do Zakładów Wytwórczych Urządzeń Elektrycznych T12 na Żeraniu w Warszawie. To był zakład, gdzie dyrektorem był Rosjanin pochodzenia żydowskiego, ale po polsku mówił trochę, i tam był, jak się dowiedziałem, taki zakład, gdzie przyjmowano takich właśnie podejranych. Takich jak ja. No ja tam byłem największym dywersjantem, ale tam inteligencja była. Wtedy tępiło się inteligencję. W związku z tym, jeżeli ktoś pochodził z rodziny wysokiego przemysłu czy naukowców, czy coś takiego, to oni byli poderzani i do takich zakładów ich kierowali właśnie. Żeby ich na oku razem trzymać. Był odpowiedni kierownik, był odpowiedni nadzór i tak dalej. No i tam przesiedziałem trzy lata rzeczywiście, odbębniłem całe trzy lata, warunki były trudne, bo to był Żerań, ja mieszkałem w AWF-ie na Bielanach, to trzeba było przejechać... Jedyna komunikacja to była tramwajem, trzema tramwajami, z przesiadką, przez Most Poniatowskiego, a praca zaczynała się w pół do siódmej rano. Ja w pierwszych miesiącach byłem kompletnie nieprzytomny. No ale dostałem bardzo ciekawe zagadnienie, konstrukcję nadajnika krótkofalowego, dwukilowatowego, komunikacyjnego. I to było bardzo ciekawe z punktu widzenia inżyniera. A ponieważ ja miałem dwa lata politechniki razem z mechanikami, to ja całą konstrukcję mechaniczną również robiłem, a to była dosyć duża, na 2 metry taki nadajnik. A tu muszę powiedzieć jeszcze taki wtręt. Na politechnice w Łodzi, gdzie szkolili nas również na mechaników, metalurgia, konstrukcje mechaniczne, musiałem projektować kotły parowe, słupy elektryczne, łożyska, i to wszystko trzeba było wykreślać w tuszu w formacie A1 i A0, i był taki pan inżynier

Chwalibóg, profesor od konstrukcji, który miał zwyczaj, jak się przychodziło do niego z projektem, pięknie wykreślonym tuszem, albo na pergaminie, albo na papierze, to on brał czerwoną kredkę, albo czerwony ołówek właściwie, i takim mocnym dawał kółko, i pyta: „A co to jest?”. Ja mówię... Kawałek łożyska tam był, czy nit. A on mówi: „To tak się rysuje nit?. Do poprawki”. A poprawka to trzeba było na nowo cały arkusz, bo tam już dziura była od tego czerwonego ołówka. I to tak po parę razy. Dawał w kość potwornie zupełnie. A jak trzeba było jakieś takie drobne rysunki robić, to on w końcu mówi: „Panie Karpiński, pan jest zdolny, ale leniwy. Z pana inżyniera już nie będzie”. Ja mówię, no trudno. To nie będzie inżyniera. A to samo mi mówił taki starszy asystent z geometrii wykreślnej. Ja świetnie robiłem te zadania z geometrii wykreślnej, tylko że mnie nudziło robienie dwudziestu podobnych... A czasami się spóźniałem, czasami nie zrobiłem i on tak samo mówił. „Panie Karpiński, pan jest zdolny, ale leniwy. Z pana inżyniera to już nie będzie”. Ale mówię, trudno. Ale profesor Chwalibóg zagroził mi, że ja dostanę dwóję w indeksie, jeżeli ja się nie poprawię. Ja powiedziałem sobie, no nie. Dwója w indeksie to jest powtarzanie roku. To ja roku nie będę powtarzał. Ja wziąłem się w garść i zrobiłem piękne projekty. I w końcu on mówi: „No widzi pan, nauczył się pan kreślenia”. A ja wszystkie normy, jakie tylko były, wykułem na pamięć. I kreśliłem rzeczywiście, i to mi się przydało później, bo w zakładach T12 to ja byłem lepszy od wszystkich kreślarzy, tak że kierownik tego biura konstrukcyjnego wyznaczył mnie na egzaminatorów i instruktorów kreślarzy. Po prostu nauczyłem się tego. [niezrozumiałe] myślę sobie, no nie, polityki ich nie będę powtarzał. Tak że tak było. Później, jak były enuncjacje w gazetach czy w telewizji, jak zrobiłem pierwszą czy drugą konstrukcję moją, to pan profesor Chwalibóg się przekonał, że jednak jestem inżynierem. No tak, to było śmieszne trochę. Ale odbębniłem te trzy lata jako starszy konstruktor już i muszę powiedzieć, że ja wtedy bardzo dużo zarabiałem. Bo nie tylko projektowałem wszystkie układy elektryczne i mechaniczne, ale sam je wykreślałem. A w kreśleniu byłem bardzo dobry, tak że ja wyrabiałem 600% normy. Za co prawie mnie nie zlinczowali kreślarze, bo im podwyższyli normy. Bo powiedzieli, że jeżeli Karpiński może zrobić 600, to znaczy, że normy są nie-dobre. Więc potem już ja wyrabiałem tylko 300% normy, a oni klęli mi w żywy kamień. Ale skąd ja mogłem wiedzieć, że takie normy są? Ale ponieważ wyrabiałem tyle normy, to tyle płacili. Bo wtedy od normy się brało wypłatę. Jak odbębniłem te trzy lata, skończyłem nadajnik, który bardzo dobrze wypadł, on był później w produkcji jako nadajnik w ambasadach polskich do komunikacji z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, i najpierw dostałem propozycję tam, gdzie Mirek Borawski, mój przyjaciel z ławy szkolnej, pracował, w BKP Mocie, Biuro Konstrukcyjne Przemysłu Motoryzacyjnego, w laboratorium, tam jakieś parę miesięcy pracowałem, ale to nie było ciekawe, przy badaniu silników autobusów, ale ponieważ ja miałem prawo jazdy zawodowe, to jeździłem autobusami próbnymi. I później dostałem propozycję z IPPT, Instytut Podstawowych Problemów Techniki Polskiej Akademii Nauk. Profesor Malecki był dyrektorem instytutu i ponieważ wicedyrektorem był mój promotor z politechniki, profesor Groszkowski, a ja miałem bardzo dobrą opinię u profesora Groszkowskiego, zaproponował mi pracę w instytucie, ponieważ miałem staż trzy lata już starszego asystenta na politechnice, cały czas byłem starszym asystentem, i miałem ćwiczenia, wykłady i byłem egzaminatorem nawet na politechnice. W zastępstwie profesora, który nie miał prawa egzaminowania, ponieważ zamęczył studentów na śmierć. Dwóch studentów popełniło samobójstwo, wyskoczyło przez okno po dwunastu godzinach egzaminu.

Anna T. Pietraszek: Który to był profesor?

Jacek Karpiński: To był bardzo znany profesor, świetny profesor, świetny naukowiec, on napisał kilka książek, ale

był chory na punkcie egzaminowania. Po prostu znęcał się nad studentami. Jak on się nazywał? Ja sobie przypomnę. Może potem nam się przypomni. Profesor Malecki zaproponował mi od razu stanowisko adiunkta. W zakładzie... Wtedy to był taki zakład mieszany, szefem tego zakładu był Filipczyński, inżynier, wtedy robił doktorat, Leszek Filipczyński, Jurek Wer i Czarnecki. Czarnecki zajmował się głosem, dźwiękami, a Filipczyński razem ze mną pracował nad ultrasonografem, z tym że on zajmował się obrazowaniem ultrasonografii, a ja robiłem pierwsze ultrasonografy, generatory, rezonatory, i razem z Jurekiem Werem również robiliśmy badania nieniszczące powłok. Poprzez ultradźwięki można było zbadać na przykład korozję blachy albo warstwę lakieru na metalu i tak dalej. To był świetny zespół. Świetny zespół był i Filipczyński, i Jurek Wer, no i tak zwany Funio Czarnecki, czyli Stefan Czarnecki tak naprawdę. Ale dlaczego on Funio, to nie... On był bardzo ambitny, był bardzo małego wzrostu, więc żeby być wyższym, to nosił bardzo wysokie obcasy, i takie nastroszone włosy tak do góry, a myśmy robili... I tak chodził dziarsko. Ale to był kapitalny zespół w tym IPPT, bo robiliśmy... Ja później dostałem swoje własne laboratorium, byłem szefem laboratorium, urządzeń analogowych to się nazywało, a później urządzeń analogowo-cyfrowych, urządzeń liczących już. I świetna atmosfera tam była. Dużo pracowaliśmy, bardzo dużo, ale jednocześnie bawiliśmy się setnie, robiliśmy sobie kawały różne, na przykład chłopcy z laboratorium zrobili ze srebrnej tektury takie ostrogi z gwiazdkami, jak to dawniej na piętach takie gwiazdki były, żeby konia tymi gwiazdkami pobudzać, i ja rozmawiałem z Funiem Czarneckim, a oni z tyłu do spodni mu założyli te ostrogi. A to było tuż przed wyjściem. No i my patrzymy, a Funio zasuwa chodnikiem. z tymi ostrogami i ludzie tak patrzą i się śmieją w kułak, i patrzą, i uśmiechają się. A on myślał, że to do niego tak się uśmiechają. I jeszcze bardziej piersi wypina, jeszcze bardziej głowę podnosi, i zasuwa takim żołnierskim krokiem z tymi ostrogami. I w końcu ktoś wybuchnął śmiechem, a ten patrzy, a tu, cholera, ma te ostrogi z tyłu. No niesamowita draka była. Albo był taki też bardzo ambitny kolega, Janusz Tomaszewski, bardzo ambitny, on był moim zastępcą w laboratorium, ale wielka ambicja, wielka ambicja była. On też tak głowę podnosił. No i puściliśmy taką plotkę, że... Aha, bo trzeba powiedzieć, że on nosił takie jakieś dziwne kapelusze z rondem i nazywaliśmy go „kowboj”. Przez te kapelusze. On zawsze w takim kapeluszu z rondem. No i puściliśmy taką plotkę, że jest jakaś choroba dziwna, że głowa puchnie. „A, tak?”. No i tak jeden dzień, drugi, trzeci, tydzień i pytamy jednego, drugiego: „A wam głowa nie puchnie?”. No i zaczęliśmy podkładać pod to rondo od wewnątrz paski papieru. Tak że ten kapelusz robił się coraz bardziej ciasny. No i go pytamy: „Podobno tu jeden kolega odczuwa, że mu głowa spuchła trochę”. A on mówi: „Tak? To ciekawe”. Ale troszeczkę taki zmieszany. No i w końcu my patrzymy, a on coraz bardziej naciska ten kapelusz i wciąga, i wciąga, i w końcu tak, że urwał to rondo. I wtedy zobaczył te papiery w środku. Myślałem, że nas pozabija. Różne kawały robiliśmy. Ale również pracowaliśmy. Bo moja pracownia, to znaczy ja, dostałem zlecenie z PIHM-u, z Państwowego Instytutu Meteorologicznego, na zrobienie maszyny analogowej, właściwie analogowo-cyfrowej, bo wtedy samych cyfrowych się nie robiło jeszcze, analogowo-cyfrowa, do wspomagania prognoz długoterminowych pogody. Szefem tych prognoz długoterminowych w PIHM-ie był właśnie Józio Lityński, nasz przyjaciel. I on powiedział, o co chodzi, na podstawie jakich materiałów trzeba zbierać dane i jak je obliczać, żeby dostać prognozę na dwa, trzy tygodnie wcześniej niż normalnie. No i było takie zlecenie, i ja wraz z zespołem... Tutaj bardzo mi pomógł Marek, mój brat, który właśnie wtedy kończył politechnikę, to był rok wczesny 1957. On był bardzo dobrym matematykiem, bo tam trzeba było obliczać całki Fouriera, ja robiłem całą elektronikę i całą mechanikę. To było bardzo duże urządzenie, na całą ścianę. 650 lamp elektronowych, bo wtedy nie było tranzystorów. Takie normalne lampy radiowe. I było ich aż 650. W normalnym radioodbiorniku były trzy-cztery lampy, a tam było w jednej szafie 650 tych lamp. Było urządzenie wejściowe, był kineskop, na którym był pokazany wynik, i rzeczywiście ta maszyna działała. Ona

się nazywała AAH, Analogowy Analizator Harmonicznych. On był gotowy w 1957 roku, jak akurat zginął Marek w Tatrach. Było wielkie halo w prasie, bo to była pierwsza tego rodzaju maszyna w ogóle na świecie. Więc były wizyty z różnych akademii nauk, z Francji, z Anglii, ze Szwecji i tak dalej. Było szeroko opisywane w prasie, w radio, w telewizji, ale bardzo krótko, dlatego że po dwóch czy trzech tygodniach jakiś mędrzec komunistyczny wpadł na pomysł, że ponieważ autorem głównym jest dywersant, to nie wolno o tym pisać. I w związku z tym nałożył cenzurę na ten produkt, AAH, nie wolno było o nim pisać już więcej, i na moje nazwisko. Nie wolno było nigdzie mówić czy pisać, że Jacek Karpiński. Była twarda cenzura, taka centralna cenzura. No i tak była ta cenzura chyba z rok. Ale ja nie pamiętam, czy wtedy czy dopiero... Bo ja dostałem za zadanie skonstruowanie nowej maszyny liczącej, mianowicie do rozwiązywania równań różniczkowo-całkowych, również parametryzowaną. To było zagadnienie również jeszcze nieatakowane przez nikogo na świecie i to było takie wyzwanie. Ja pracowałem nad tym dwa lata, rozpocząłem w 1957 roku, a w 1959 roku wraz z moją grupą, gdzie było sześć osób, no i w 1959 roku maszyna była gotowa. I znowu było wielkie halo. Znowu dziwnie można było o tym pisać przez dwa tygodnie, znowu radio, prasa, telewizja, mnóstwo artykułów, bo to było znowu pierwsze tego rodzaju urządzenie na świecie. Nazywał się „Akat 1”. Ta maszyna jest w tej chwili w Muzeum Nauki i Techniki w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Niestety AAH, czyli do prognoz długoterminowych, nie ma tam, ponieważ ona dwa lata pracowała na ulicy... Taka ulica pomiędzy Placem Unii a Placem Zbawiciela. Tam był PIHM, ale później, jak wybudowali ten gmach PHM-u na Bielanych, to transportowali tę maszynę, a była bardzo ciężka, no i mieli na drugim piętrze ją umieścić, i niestety była za ciężka i spuścili ze schodów, jak transportowali. Nie utrzymali, ona zjechała, rozbiła się kompletnie no i tak się zakończyła jej... Żywoć tak się zakończył. Ale „Akat 1” jest. I wtedy, znowu wielkie halo i tak dalej... A może to było nawet jeszcze w 1958 roku... Ja nie pamiętam. Zgłosił się jakiś człowiek od premiera Jaroszewicza, że „proszę się zgłosić do premiera”. No i rzeczywiście, zawieźli mnie tam, ja myślę sobie, o co chodzi? A on powiedział: „Panie inżynierze, ma pan wybitne osiągnięcia konstrukcyjne, ale czy ma pan jakieś trudności? Bo słyszałem, że ma pan jakieś trudności, panie”. Ja mówię: „No trudności są kolosalne. Dlatego że jeżeli ja chcę kupić kawałek drutu nabojuowego do transformatora zwyczajnego, to ja muszę złożyć zamówienie na rok naprzód. Tak samo na blachę. Na wszystko. Na rok naprzód. To jest jakaś anomalia. Ja potrzebuję parę kilogramów drutu, to ja muszę złożyć zamówienie tak jak zakłady, które potrzebują tonę”. On wezwał towarzysza Schechnera, Schechner, jego, nie wiem, jego taka prawa ręka czy asystent, czy cholera tam wie, co, nie wiem, w każdym razie jakaś wybitna postać, i mówi: „Towarzyszu Schechner, tutaj inżynierowi trzeba pomóc. I pan będzie odpowiedzialny za tę pomoc. Jak trzeba będzie czy drut, czy wszystko jedno, co, to, panie Karpiński, pan dzwoni, tu ma pan telefon bezpośredni do Schechnera, i pan mówi, co potrzeba. I on już załatwi”. I on pyta: „Co jeszcze?”. Ja mówię: „Brakuje nam urządzeń pomiarowych, dlatego że Instytut nie ma dostatecznych przydziałów dewizowych, a polskie na przykład oscylografy nie nadają się do nowoczesnych pomiarów”. A taki oscylograf kosztuje 5–10 tysięcy. To on pyta: „To ile potrzeba tych dolarów?”. Ja mówię: „20 tysięcy”. „Schechner – mówi – załatwcie dla instytutu – bo nie dla mnie – dla Instytutu IPPT”. On pyta: „Kto jest dyrektorem?”, ja mówię: „Profesor Malecki” – „Dla Maleckiego załatwić 20 tysięcy dolarów. Ale profesor Malecki ma wystąpić o to”. Ha, dobra. No to ja podziękowałem, wracam do instytutu, idę do profesora Maleckiego i mówię: „Panie profesorze, nam brakuje tych dolarów i czy może pan wystąpić o 20 tysięcy dolarów z puli centralnej?”. A on mówi: „Ha, ha, ha, panie kolego, ja już dziesięć lat występowałem”. Ja mówię: „Panie profesorze, no proszę wystąpić jeszcze raz” – „Nie no, to szkoda w ogóle czasu, wie pan”. Więc ja idę do profesora Groszkowskiego i mówię: „Panie profesorze, proszę namówić profesora Maleckiego, żeby wystąpił o to, że jest obiecane, że zostanie”.

Nie, no... I w końcu go namówiłem. Namówiłem i Malecki mówi: „Dobra, ja wystąpię, ale to jest, wie pan, szkoda papieru nawet”. I po tygodniu on dostał te 20 tysięcy dolarów. Z przeznaczeniem dla mojego laboratorium. Ja miałem przechłapanie. Bo mówią, cholera, to jakiś, jakiś jest widocznie agent czy z diabli wiedzą co. I Malecki zaczął na mnie krzywo patrzeć w ogóle. A ja Bogu ducha winien. Ale i tak, i tak w cenzurze na czarną listę mnie wpisali. Aj, Boże kochany. Nie wiem, co myślał później o mnie Malecki, ale... Nie wiem. Bo ja sam bym bardzo się dziwił, że to było naprawdę podejrzane. Ale w 1959 roku było ogłoszone przez UNESCO, konkurs, światowy konkurs dla młodych talentów. I każdy kraj, a było wtedy w UNESCO zarejestrowanych 200 krajów, każdy kraj miał możliwość wystawienia jednego kandydata jako młody talent konstruktorski.